

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

10 Ten zaś odwrócił się do niego plecami i szedł wolno wzdłuż bulwaru. Po jakimś czasie, nie spuszcza-
jąc wzroku z młodego człowieka, przeszedł na drugą
stronę ulicy.

Nieznajomy zdawał się namyślać, w którą ma
się udać stronę. Uczynił kilka szybkich kroków
w kierunku ulicy Pigalle i bulwaru, gdzie znajdo-
wało się mieszkanie zamordowanego pana R. vere,
potem zatrzymał się nagle i wykreślił w stronę
przeczną. Powracał ku „kawiarni Szkieletów“, prze-
szedł i krokiem szybkim zmierzał ku placowi Clichy.
Przed „Moulin-Rouge“ zatrzymał się na chwilę, jak-
gdyby wahając się z wejściem, stał dłuższy czas
znowu badając gorączkowo ulicę, potem bezmyślnie,
ogłupiałe spojrzenie utkwiał w wielkiej czerwonej la-
tarni, chwiejącej się przed lokalem. Bernardet śle-
dzący go z drugiej strony ulicy widział doskonale
nerwowe, niespokojne jego ruchy i twarz pobladłą.

Chwilowa ta apatya nie trwała jednak długo.
Ruszył nagle z miejsca, jak człowiek, który pewny
jest swojego planu i przecinając bulwar, zmierzał
boczną ulicą do centrum miasta, pozostawiając daleko
za sobą dzielnicę Montmartre, nocne, gwarne kawiarnie
i dom zamieszkały niedługo przez pana R. vere.
Szedł coraz szybszym krokiem i nagle na rogu ulicy
Fontaine natknął się na małego człowieka, którego
przedtem nie widział przed sobą i który jakgdyby
niespodziewanie wyrósł z pod ziemi. Człowiek ten
zataczając się, upadł prawie na niego, mrużąc pod
nosem:

— A to idyota!

Nieznajomy ruchem ręki chciał odsunąć pijaka
i przejść dalej, ale mały człowieczek stał przed nim
i wymachując zamasyżowane ręce, mrużąc dalej za-
chrypłym głosem:

— A to mi się podoba... do krośset... ulica...
ulica jest dla każdego przecież... Co to?... Nie wolno
mi może po niej chodzić?..

Nieznajomy spojrzał na napastnika i brwi
zmarszczył groźnie. Ale dobroduszny wygląd pijaka
z nasuniętym na twarz kapeluszem uspokoił go
trochę.

To był przecież najwidoczniej tylko pijak i to
najniższej kategorii. Chwiał się na nogach, zataczał
a głos miał ochryply i zduszony.

— Proszę mi pozwolić przejść! — odezwał się
stanowczo nieznajomy, odsuwając ręką natręta.

— Ja... ja... nie przeszkadzam wcale... Ulica jest
dla każdego powiadam.

— Jeżeli dla każdego, to i dla mnie! — zawołał
gniewnie młody człowiek — Dosyć tych głupstw!
Proszę ustąpić!

— Ho! Ho! Nie tak ostro kochanku! — odparł
pijak, którego ta odpowiedź podrażniła widocznie —
Powiadasz, że jest i dla ciebie... no... zobaczymy...
tylko królowi wolno rozkazywać, pamiętaj!

Nagłym ruchem, tracąc równowagę, zwałił się
na nieznajomego i objął go rękami szukając oparcia.

— Ulica ani twoja... ani moja... — bełkotał nie-
zrozumiale — Nie wolno ci się tak rządzić bratku.

Gwałtownym szarpnięciem młody człowiek chciał
się uwolnić z tego niespodziewanego uścisku. Roz-
parł szeroko ramiona i rzucił się naprzód. Napór był
tak gwałtowny, że pijak naprawdę teraz zwałił się
na ziemię, zakławszy głosem. Kapelusz spadł mu
z głowy i potoczył się na brzeg chodnika.

Ale natychmiast jednym zręcznym skokiem sta-
nął na nogach jak człowiek zupełnie przytomny i rzu-
cił się za oddalającym się szybko przeciwnikiem.
Niespodziewanie pochwycił go z tyłu za kołnierza
ubrania, a drugą ręką ujął jego nogę, uniemożliwia-
jąc mu dalszą swobodę ruchów.

— Hej! Przyjacielu! — zawołał groźnie — Czy
sądzisz, że ci tak łatwo odejść? pozwolę. Mylisz się
bardzo! Musimy się teraz rozprawić! No! Nie szarp
się, bo to ci się na nic nie przyda!

Wściekle przekleństwo wybiegło z ust młodego
człowieka. Światło latarni padało wprost na twarz
mniemanego pijaka i w jednej chwili rozpoznał w nim
sąsiada z „Kawiarni Szkieletów“, tego, który za-
gadnął go w tak dziwny i niepokojący sposób, wspo-
minając dwukrotnie nazwisko „Rovere“.

Tworząc młodego człowieka przybrała groźny
i straszny wyraz, chciał rzucić się w bok, ale w tej
chwili para rąk silnych obezwładniła go. Policyant
Dagonin i jego towarzyszy przychodzili z pomocą
Bernardetowi. Tenże zaś, uprzedzając ruch ręki nie-

znajomego ku prawej kieszeni płaszcza, gdzie znaj-
dować się musiał rewolwer lub nóż, pochwycił go
gwałtownie za dłoń, wykręcając mu ją tak silnie,
że aż słuchać było trzeszczenie kości.

— Hola, mój kochany! — zawołał Bernardet —
Nie sądzę, że się damy zarznąć, jak barany!

Nieznajomy był muskularny i dobrze zbudowany,
ale policyant Dagonin nie należał do najsłabszych
i posiadał dosyć znaczną siłę. Zawiąza się krótka,
zacięta walka. Młody człowiek, po jakimś czasie,
przestał się szamotać, widząc bezskuteczność swo-
ich usiłowań i ogłupiały, zdumiony zapytał, zwrac-
ając się do Bernardeta:

— Co to ma znaczyć? Chcecie mnie aresztowa-
wać?

— Jak widzisz, mój zuch! — odpowiedział agent
z uśmiechem.

— Ale dla jakiego powodu? Ja muszę wiedzieć!

— Przedewszystkiem uderzyłeś mnie i powaliłeś
na ziemię — odparł ostro agent, któremu w tej
chwili chłopak jakiś podawał kapelusz zabłocony
i zmięty, mówiąc:

— To pański kapelusz, panie Bernardet!

Agent uśmiechnął się z zadowoleniem. Znano go
w tej dzielnicy i wiadano, do czego był zdolny.

Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem, chciał się
wyrwać z żelaznych rąk swoich prześladowców. —
Nateczył się tak, że sine żyły wybiegły mu na
twarz pobladłą, po której spływały grube krople
potu.

— Poco się tak buntować? — zauważył spo-
kojnie policyant Dagonin — Pogarsza pan tylko
swoją sprawę, która przecież nie jest tak ciężka.
Za opór władzy czeka pana podwójna kara.

Rzeczywiście chodziło tylko o zwykłą sprzeczkę
uliczną. Nieznajomy pomyślał, że przecież za to nie
mogą go długo trzymać pod kluczem. Jedną rzecz
niepokoiła go tylko. Kim był i czego chciał od
niego ten pijak napastujący go, który teraz wyglą-
dał na zupełnie trzeźwego człowieka? I w jakim
celu tam, w „Kawiarni Szkieletów“, chciał tak upor-
czywie zawiązać z nim rozmowę?

Pomyślał jednak, że lepiej będzie dla niego, jak
się dobrowolnie podda tej konieczności i dał się
spokojnie już prowadzić, nie żądając dokładniejszego
wyjaśnienia.

Szli prędko wzdłuż domów i ulic, opustoszałych
już prawie. Tylko gdzieśś światełka, bijące od
kawiarni i winiarni nocnych, oświetlały niedostatecznie
mrok zapadający. Na liczni przechodnie przesuwali
się w milczeniu obok tej czwórki, nie domyślając
się wcale, że to agenci policyjni, prowadzący kogoś
do aresztu.

Nareszcie przed jednym domem zatrzymali się.
Białą, trójkolorową chorągiew chwiała się, poru-
szana wiatrem, nad dużą latarnią, rzucającą czerw-
nawe błyski.

Ktoś drzwi otworzył i nieznajomy znalazł się
w sali wąskiej i dusznej, gdzie pod oknami na
ławkach drzemało kilku policyantów. Kilku z nich
przy świetle gazowej lampki zabawiło się paleniem
papierosów i czytaniem zabrudzonych dzienników.

Bernardet zbliżył się do swojego więźnia, stoją-
cego pod strażą Dagonina i jego towarzysza i gła-
dząc melancholijnym ruchem zniszczony swój ka-
pelusz, odezwał się stanowczym głosem:

— Proszę mi podać moje imię i nazwisko, miej-
sce zamieszkania i zajęcie.

Młody człowiek zrozumiał teraz, że chodziło tu
o rzecz większej wagi, i że mniemany gość z „Ka-
wiarni Szkieletów“ wprowadził go w ułożoną już
przedtem zasadzkę.

Błysk wściekłości i gniewu rozgorzał w jego
oczach, zacisnął wargi i milczał, jakgdyby nie sły-
szał zapytania.

— Imię, nazwisko i miejsce zamieszkania? —
powtórzył ostrzejszym już głosem Bernardet.

— Nazwisko moje? — odezwał się w końcu
nieznajomy — A cóż moje nazwisko obchodzi pana
może?

— Może i bardzo.

— Jestem uczciwym człowiekiem.

— To się pokaże.

— Dlaczego mnie pan aresztować kazał? Co to
ma znaczyć?

— Proszę o nazwisko.

Nieznajomy brwi zmarszczył i zawahał się.

— No, proszę! — nalegał Bernardet.

— Nazywam się Prades! — wymówił niechętnie
młody człowiek.

— Prades? — wymówił wolno Bernardet, pa-
trząc badawczo w oczy swojemu więźniowi.

— Słyszysz pan przecież! Ciekawym, czy to pana
dużo obchodzi?

— Prades! — powtórzył policyant Dagonin, za-
pisując do książki leżącej przed nim. — A imię?

— Karol, jeżeli chcecie!

— Oh! — zawołał Bernardet — My tu nie nie
chcemy oprócz prawdy. Trzeba, żeby to pan zro-
zumiał.

— A więc mówię prawdę! — odrzekł ostro
młody człowiek, patrząc wyzywająco na agenta.

— Proszę o dalsze objaśnienia! — indagował
Bernardet, nie tracąc nic ze zwykłego spokoju.

— Jakże jeszcze?

— Gdzie pan mieszka obecnie?

— Na ulicy Prissoniere.

— Numer?

— H! tel „pod Tygrysem“.

— Od jakiego czasu przebywa pan w Paryżu?

— Od miesiąca.

— A przedtem? Jakże było miejsce stałego za-
mieszkania pana?

— Sydney.

— Czem się pan tam zajmował?

— Byłem współnikiem domu handlowego.

— Dlaczego pan to zajęcie opuścił?

— Przybyłem do Paryża szukać szczęścia!

— Ho! ho! — mruknął Bernardet. Ryzykowne
postanowienie!..

Badanie przeciągnęło się jeszcze czas jakiś. Ber-
nardet zręcznymi pytaniami doprowadził nieznajomego
na zeznanie, że przebywał również w Buenos-Ayres.
Zeznanie to agent zanotował sobie dobrze w pamięci.
Pan R. vere bowiem jakiś czas tam przebywał w cha-
akterze konsula. Jednakże Bernardet nie podniósł
tej kwestyi, bo nie miało to obecnie celu najmniej-
szego. Prawdziwe badanie Karola Pradesa zostanie
przeprowadzone dopiero przez komisarza policyi pana
Ginory'ego. Wyłowił zręcznie zwierzynek, to dosyć,
a reszta należała już do jego przełożonych. W każdym
razie mógł być zadowolonym ze siebie. Był przekon-
anym najmocniej, że człowiek podający się za Ka-
rola Pradesa, o ile to nazwisko nie było zmyślane,
odegrał ważną rolę w sprawie z ulicy Clichy.

Kiedy oznajmiono Pradesowi, po skończeniu pro-
wizorycznego badania, że nie zostanie jeszcze wy-
puszczony na wolność, lecz zatrzymany w aresztach,
aż do dalszego rozporządzenia władz, wpadł w gniew
szalony.

— To niemożliwe! — wołał trzęsąc się z obu-
rzenia. — To niemożliwe! To jest bezprawie! Co
pan mi ma do zarzucenia?

Za zwykłą sprzeczkę na ulicy, do której
jeszcze byłem przez pana sprowokowany, chcecie,
zebym przepędził noc w towarzystwie pijaków i rze-
zimieszków ostatnich?! Jestem uczciwym człowie-
kiem i nie zrobiłem nic złego. Pan niema prawa
mnie tu zatrzymywać!

— Dosyć już — odrzekł surowym głosem Ber-
nardet. — Jeżeli postępowanie moje wydaje się panu
niesprawiedliwe, może pan jutro rano wnieść skargę
przed moimi zwierzchnikami!

— Ależ ja tu zostać nie chcę! Nie zostanę!

— Napróżno się pan oburza. Dzisiaj pan już
stąd nie wyjdzie. Trzeba się z losem pogodzić.
Krzykami nie polepszy pan swojej sytuacji. A teraz
pozwoli pan, że przeszukamy kieszenie jego ubrania.
Dagonin, pomóż mi, mój przyjacielu!

— Co? co? — krzyknął z wściekłością Prades. —
Przeszukanie osobiste! Dlaczego? Jakiem prawem?

— Spokojnie, spokojnie! Powtarzam raz jeszcze,
nie pogarszaj pan sprawy swojej niedorzecznym
oporem. No, dalej Dagonin!

Prades już nie reagował, ale widać było, jak
szalonym wysiłkiem woli panował nad sobą, by nie
wybuchnąć. Pozwolił sobie spokojnie przesukać
wszystkie kieszenie. W jednej z nich znaleziono
portfel i długi nóż hiszpański.

Bernardet, odbierając go z rąk towarzysza, uśmie-
chnął się. Był pewnym, że coś podobnego tam się
znajdzie. Portfel nie zawierał nic szczególnego. Ra-
chunki codzienne z hotelu „pod Tygrysem“, koperty
z listów, bez żadnych znaczków pocztowych, na
nazwisko Karola Pradesa, handlowca i dwa banknoty
po sto franków każdy. Więcej nic.

Bernardet długą chwilę przyglądał się kopertom
listów.

— Jakimże to sposobem — zapytał w końcu —
listy te są niefrankowane? To niemożliwe, aby je
pan odebrał przez pocztę. Chyba pan sam te koperty
zaadresował do siebie.

Karol Prades zmieszał się i zawahał.

— To nie są listy — odparł po krótkim czasie
zuchwale, patrząc na agenta. To są poprostu adresy,
których używam w zastępstwie biletów wizytowych,
których nie miałem jeszcze czasu dotąd nabyć.

Bernardet pokręcił głową i spojrzał na niego
uważnie.

— Ale te adresy są wypisane pana ręką? —
zapytał, patrząc badawczo w twarz młodego czło-
wieka.